

GRZEGORZ
KALINOWSKI

**GRANATOWY
44**

GRZEGORZ
KALINOWSKI

GRANATOWY 44



[Kup książkę](#)

*Pamięci moich najbliższych, Taty,
Zbigniewa Kalinowskiego vel Kalisz, i Wujka Mietka,
Mieczysława Kalinowskiego vel Kalisz „Nowaka”.*

*Nadajemy komunikat z Warszawy.
Nadzwyczajny komunikat z Warszawy.
Stacja Armii Krajowej melduje:
Bój skończony i... nic, oprócz Sławy...*

MIECZYŚLAW UBYSZ „Wilk”, *Ostatni komunikat*

*Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam Kraj przedtem rozdartszy na ćwierci,
była zbawieniem witanym z odrazą*

JÓZEF SZCZEPAŃSKI „Ziutek”, *Czerwona zaraza*

KIEDYŚ

Wicek patrzył w dół, oddychał głęboko i miarowo. Jego klatka piersiowa napinała się jak u gladiatora albo zapasnika, który ma wyjść na arenę i stoczyć walkę. Może zostać po niej bóstwem i gwiazdą lub skończyć z rozbitą czaszką czy złamanym karkiem. W dole widział wodę połyskującą w świetle księżyca i w blasku ognia. Wisłą płynęły wianki ze świeczkami, a na nabrzeżu, chyba spod knajpy Pod Retmanem, ktoś wystrzelił fajerwerki.

Jeszcze raz nabrał powietrza, jakby chciał złapać właściwy rytm, stać się perfekcyjnym mechanizmem, który obierze właściwą parabolę lotu. Bo to miał być lot, a nie zwykły skok. Nie o wysokość tu chodziło, choć z pewnością na widzach robiła wrażenie. Ważniejsze było, by skoczyć tak, żeby minąć rufę barki, o nic nie zaczepić i wejść do wody.

Poczuł dreszcz emocji, a może nawet krępującego strachu. Stopy na metalowym kątowniku ścierpły, chciał zmienić ich pozycję, dać im odpocząć, bo nie był jeszcze gotowy, bo musiał odwlec to, co nieuchronne. Wcześniej zaledwie chciał, a teraz musiał, choć w ogóle nie miał ochoty skakać. Gdyby jednak nie skoczył, zostałby wyszydzony, stałby się pośmiewiskiem i frajerem początku lata, a może nawet całych wakacji.

Spojrzał na tłumek ludzi. Czy już się śmieją i szydzą? Przystąpił z nogi na nogę, bujnęło nim, lecz zamiast łapać równowagę, wybił się i poleciał, szybował niczym ptak, jednak spadł jak kamień, piasnął o wodę, poczuł ból i pieczenie, zaśmiało mu w głowie i wszystko stało się jednym wielkim

bulgotem. Poszedł na dno, lecz rozpaczliwie wyszarpnął się w górę. Jego głowa wyskoczyła na powierzchnię, widział fajerwerki na niebie, przed nosem przepłynął mu wianek ze świeczką, a ferajna na brzegu wiwatowała. Chciał im pomachać, szybko jednak zmienił plany, bo porwał go nurt, więc zamiast wydać triumfalny okrzyk, wrzasnął z rozpacz.

Coś płynęło w jego stronę, konar, kawałek drewna, a może fragment starej łodzi. Złapał się tego, żeby nie pójść pod wodę – był jak spławik, który ciągnie wielka ryba. Nagle poczuł się jak na karuzeli, która przemieniła się w lejek. Wir obracał nim i wciągał w głębinę. Wciąż słyszał głosy niosące się od brzegu, jednak nie były to już brawa, tylko popłoch. Świadkowie sukcesu stali się świadkami tragedii.

Wicek walczył o życie i z każdą sekundą uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że to walka przegrana. Wtem poczuł straszny ból, to ktoś pociągnął go za włosy, a potem jakaś ręką wymierzyła mu policzek. Ciągnięto go i szarpano.

Ktoś polał go wodą i usłyszał:

– Rybski, odezwij się, Rybski, kurwa, otwórz oczy, to ja Ciechaniak! Rybski!

Co się właściwie stało? Leciał, potem uderzenie, woda, chyba w oddali był most, ale który, Kierbedzia czy Poniatowskiego? Wszystko go bolało, w głowie kalejdoskop, jakby siedział na karuzeli wirującej w zawrotnym tempie. Słyszał głosy, przed oczami przelatowały mu obrazy: lot do wody, Wisła, wianki, ognie na niebie, petardy... Pochyliła się nad nim Maniek Ciechaniak, wyciąga go na brzeg, ma na sobie białą mokrą koszulę oblepiającą ramiona i tors. Widział jego mokre włosy, z których spłynęła brylantyna i teraz opadły mu na twarz. To Ciechaniak czy prowadzący przesłuchanie gestapowiec? Czas, miejsce, ludzie, zdarzenia, wszystko się wymieszało. Wokół zniekształcone dźwięki, krzyki,

rozmaite światła, a w głowie jak echo wybrzmiewają słowa:
„Krew będzie płynęła rynsztokami”... Czuł, że balansuje na
krawędzi piekła i rzeczywistości, zagubiony w bliżej nieokre-
ślonym punkcie swojego życia.

PO LATACH

Kiedy do Wincentego Rybskiego dotarło, gdzie jest i co się z nim dzieje, nie pomyślał o tym, co będzie. Bo to, co miało być, nie malowało się w szczególnie interesujących barwach. Przyszłość będzie bardzo zła albo jeszcze gorsza, więc zastanawiał się, jak doszło do tego, że tu trafił. Kiedy to wszystko się zaczęło i gdzie? Jasne, że trzydzieści pięć lat temu, w roku 1909, na Starówce przy Podwalu, w jednej z ruder opartych o mur dawnego Barbakanu. Nawet w tym dość paskudnym miejscu mieszkanie rodziny Rybskich nie należało do tych pierwszorzędných, niewiele tam było gorszych. Bida piszczala, a on był w gorącej wodzie kąpany, więc szedł na skróty. Te skróty bywały niebezpieczne, bo kolegów miał takich, jakich miał. Tak się złożyło, że jego najlepszym kumplem był właśnie szemrany Maniek Ciechaniak, co matkę przyprawiało o ból głowy.

– To łachmyta skończony! – lamentowała. – Cała rodzina to bezrobotni i złodzieje! Skończysz w kryminale albo na szubienicy!

I to ostatnie chyba wykrakała.

Co do Ciechaniaków, to miała rację. O takich jak oni mówiono „zawodowe bezrobotne”, a ich przyszłość była jak w tej piosence, w której *w Saskim Ogrodzie przy wodotrysku pan policmajster dostał po pysku*. Ostatnie strofki były wypisz, wymaluj o nich: *I posłuchali ojca synowie, każdy ma cele, lecz w Mokotowie*. Tak było w piosence, jednak w życiu ździebko inaczej. Senior rodu, dziadek Albin, odpękał za wszystkich i siedział nie w więzieniu mokotowskim przy Rakowieckiej, lecz przy Pawiej. To za pierwszym razem, bo potem miał odsiadkę w Arsenale. Z kolei ojciec Ciechaniaków przeszedł przez swe złodziejskie życie prawie suchą stopą, poważnie nie

umoczył ani razu, chociaż był bywalcem aresztu przy Daniłowiczowskiej. Rok nie wyrok, jak mówili szemrani, a poważne odsiadki łapali inni. Bo stary Ciechaniak, Waldemar Ciechaniak, był jak Szpicbródka! Mistrz cechu złodziejskiego, który więcej kierował, niż uczestniczył, aż wreszcie się ustatkował, robił jakieś interesiki. Synowie jednak nadal kręcili się w szemranym towarzystwie, a wraz z nimi Wicek Rybski.

I tak złapał kontakty, które dały mu termin u niejakiego Romana Łuczkovskiego, szwagra Ciechaniaków, z zawodu wykonywanego doliniarza. Wicek miał dryg i pewnie by tym doliniarzem został, jednak kobiety potrafią namącić i pokrzyżować plany. Zdolny uczeń doliniarskiej akademii zagiał parol na pannę, której ksywka „Lalka” mówiła wszystko. Szykowna była, ale i on nie kulawy, a do tego umiał założyć bajer. Był już blisko wzięcia pierwszej nagrody, kiedy napatoczył się Janek Kempski, nieco starszy kolega z uczelni – jak nazywano tę szczególną praktykę u mistrza sztuki doliniarskiej – no i bach! Bajer bajerem, ale pieniądze, garderoba i podarki robią na damach wrażenie. A na Lalce to już szczególnie. Się skończyło, a on sprzedał Kempskiemu pigułę, za co „profesor” Łuczkowski go zrugał, więc z tego żalu uniósł się honorem i zakończył naukę.

Bezrobocie szalało, w domu bieda, więc się przedterminowo zgłosił do odbycia służby wojskowej. Coś go tam podkuśło i poszedł pracować do policji. Nie od razu, po szkoleniu. Ależ to była sensacja! A jeszcze większa, kiedy go wzięli do urzędu śledczego! Wtedy Janek Kempski podjechał do niego na ulicy i zapytał:

– To tera mnie posadzisz?

– Musowo, ale przy piwie! – odpowiedział, śmiejąc się, Rybski.

Więc poszli się napić, a Rybski uspokoił Janka, że nie pracuje w brygadzie kradzieżowej. Nie wyjawiał jednak, gdzie dokładnie, nie powiedział też, skąd u niego ten przyływ koleżeńskości. Uważał bowiem Janka za swojego zbawcę, który uchronił go przed wzięciem w ramiona nie tylko panny Lalki, lecz także całego bałaganu, który za sobą ciągnęła. Bo gdy Lalka została żoną Janka i stała się panią Kempską, w ekspresowym tempie zmieniła się w jędzę z pretensjami. Jeszcze niedawno bliska była stanięcia pod latarnią, szybko jednak o tym zapomniała i wydawało się, że zawsze była z niej wielka jaśnie pani! Wzięła chłopaka pod pantofel i chociaż Kempski kradł fachowo i na okrągło, to nie mógł na nią nastarczyć. Mimo że potrafił zarobić w miesiąc nawet i tysiąc złotych, a bywało że nawet i dwa, to marniał w oczach, za to posterekowy Rybski kwitł, choć z dodatkami nie wyciągał nawet dwustu. Ale i tak nikt z jego rudery na Podwalu nie zarabiał legalnie takiej forsy!

Piął się w górę i na szczęście w sprawach zawodowych mijał się ze swoim kumplem Mańkiem Ciechaniakiem. Maniek, chociaż był z klanu, który trząśł Starówką i nieźle wywijał w innych częściach Warszawy, nie był dla szefów Rybskiego klientem godnym zainteresowania. Zbieg okoliczności sprawił, że Wicek trafił pod skrzydła komisarza Strasburgera i przodownika Stolarczyka, którzy mieli najpierw w urzędzie śledczym, a następnie w komendzie głównej swą małą, zależną tylko od najważniejszych ludzi w policji komórkę. Grube, ocierające się o sprawy wywiadu śledztwa, dyskretne i poufne, oraz interwencje, o które prosili ministerstwo i policję ludzie ustosunkowani. Krótko mówiąc, sprawy, od których prasa, a nawet inni funkcjonariusze mieli się trzymać z daleka. Odejście z policji Kornela Strasburgera i rozwiązanie jego komórki zbiegło się ze zmianami w życiu Rybskiego. Zrobił

maturę, kurs oficerski, został aspirantem, ożenił się, a w 1938 roku dostał posadę w nowo utworzonym powiatowym urzędzie śledczym w Działdowie.

* * *

Spotkali się dopiero zimą 1941 roku, wpadli na siebie w szynku Wars i Sawa przy Wielkiej, jednym z sieci lokali i knajp, którą prowadziła rodzina Ciechaniaków. Była wojna i większość ludzi traciła wszystko, co miała, natomiast Ciechaniaki właśnie w tym czasie na dobre rozwinęły skrzydła. *Bo tera jest wojna, a kto handluje, ten żyje!* Oni żyli na całego.

– Jak rodzina? Słyszałem, że nieklawo się to wszystko ułożyło? – zagadnął Maniek.

– Nijak się nie ułożyło – uciął Rybski, bo nie chciał opowiadać kolejnej osobie, że jego żona i córka przepadły po opuszczeniu Działdowa. Większość ludzi uważała, że zginęły pod bombami. – Póki jest nadzieja, to uważam, że żyją – dodał zdecydowanym głosem. – Może u Ruskich, a może jakimś cudem gdzieś we Francji albo jeszcze dalej, gdzie rząd i wojsko poszli.

– Rząd i wojsko... – mruknął Maniek, uśmiechając się krzywo i strzykając śliną.

– A ja, jak raz, urzędową sprawę mam do ciebie... – Rybski szybko zmienił temat. – Ale wyjdźmy z lokalu, dobrze?

Wyszli na Wielką, zapadał zmrok, za murem getta słychać było gwar, na Marszałkowskiej i Bahnhofstrasse, kiedyś Alejach Jerozolimskich, ludzie szli szybko, chcąc zdążyć przed godziną policyjną. Oni stali przed barem i nic sobie z godziny policyjnej nie robili, bo mieli dobre papiery: Rybski służbowe, a Ciechaniak dał łapówkę i dostał przepustkę.

– Jaką przyjacielu? – spytał Maniek.

– Rząd działa, daleko stąd, ale działa... – zaczął Rybski.
– I co mi do rządu, a rządowi do mnie? – przerwał mu, krzywiąc się, Ciechaniak.

– Powiedzmy, że jest robota...

– Robota? – prychnął Maniek, jakby chciał dać do zrozumienia, że ma to gdzieś, choć w jego oku pojawił się błysk zainteresowania. – Czy mam dla pana prezydenta z Londynu załatwić wagon węgla, czy może dostarczyć transport rąbanki ze wsi? A może dobry tani bimber albo markowe wino z Francji? Może być i szampan! Wszystko może być, są pieniądze, jest ecie-pe-cie, to i da się załatwić prawdziwą kawę! – Dając popis swych handlowych możliwości, Maniek patrzył uważnie na kolegę i czekał na jego reakcję. Tej jednak nie było, więc kontynuował popis reklamowy: – Mogą być i papierosy! Amerykańskie papierosy, prosto z Hiszpanii! I cygara z samej Kuby, co tylko zechcesz, bo ja teraz w handlu robię, i to nie w detalicznym!

– Mnie się o konkretniejsze rzeczy rozchodzi – powiedział Rybski.

– A mianowicie?

– Mokra robota.

Ciechaniak pokręcił głową i zagwizdał.

– Fiu, fiu! Mam poważną robótkę dla pana prezydenta i pana premiera... Fiu, fiu! A kto tam teraz rządzi? – Zamyślił się. – Śmigły-Rydz to już chyba nie, prawda? – Uśmiechnął się krzywo. – To dobrze, bo on za te guziki, co nam Niemcy zabrali, pewnie chciałby Hitlera kropnąć? – Zaśmiał się. – Nie oddamy ani guzika, mówił pan marszałek Śmigły-Rydz, a oddaliśmy całą Polskę!

– Raczkiewicz i Sikorski – odpowiedział Rybski.

– Co?

– Raczkiewicz jest prezydentem, a generał Sikorski premierem – wyjaśnił Rybski. – I jeśli sobie życzysz, to możesz

kogoś kropnąć, ale jak chcesz po cichu, to wsadź kosę. I nie Hitlerowi, tylko szpiclowi.

– No nie mogę! Nie mogę! – Ciechaniak nie posiadał się z radości. – Policjant zleca mi załatwienie szpicla! Tego, kurdebalans, nie grali w żadnym kinie!

– I nie zagrają – spokojnie odparł Wicek. – Bo to nie ja zlecam, ja tylko pośredniczę. Na tego człowieka zapadł wyrok, więc będzie to egzekucja, tylko taka raczej w biegu.

Maniek dopalał papierosa, trzymając go koniuszkami palców, od których żar był już o milimetry. Zaciągnął się jeszcze raz i pstryknął rozżarzony niedopałek w mrok.

– Sąd, powiadasz... – Był chojrakiem, organizował w życiu różne hece, a jak trzeba, to miał w swoim gangu ludzi od mokrej roboty. Trudno było go zdziwić, zaskoczyć czy onieśmielić. Teraz jednak stracił rezon. Ale tylko na chwilę. – A co ja będę z tego miał, mój przyjacielu? No co? Bo owszem, ja ci kiedyś za friko życie ocaliłem i jeszcze później tę okoliczność oblałiśmy z mojej kieszeni, prawda? – Rybski skinął głową. – Ale znasz mnie, że prywatnie to ja mogę pomóc tak od serca, z sympatii czystej... ale żeby za damski chuj robić dla państwa... no powiedz, że nie!

– Oczywiście, że nie.

Ciechaniak się uśmiechnął.

– A ile mi proponuje najjaśniejsza, nieobecna w Polsce Rzeczypospolita? Tyle, co miał za robotę kat państwowy, po stówce od łebka? Może dla Alfreda Kalta to był konkretny pieniądz, ale nie dla mnie.

– Alfred Kalt... znasz prawdziwe nazwisko Stefana Maciejowskiego? – zdziwił się

Wicek.

– Ja dużo rzeczy wiem i ty o tym wiesz.